



Agnieszka

Wiktorowska-Chmielewska

RUCHOME OBRAZY

RUCHOME OBRAZY



SERIA LITERACKA
ZE SROKĄ

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska

RUCHOME OBRAZY



Kraków 2023

© Copyright by Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, 2023

Opracowanie redakcyjne

Agnieszka Sabak

Korekta

Hanna Antos, Justyna Zdziennicka

Projekt okładki

Katarzyna Klakla

Autorem zdjęcia na okładce jest Krzysztof Ridan

Zrealizowano w ramach Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



ISBN 978-83-8138-763-7

Współwydawca

Alfa Sagittarius Jerzy Kowynia
ul. Stanisława Kunickiego 10, 30-134 Kraków

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl

Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

*Powieść inspirowana życiem reżysera
Jerzego Ridana*

Rozsiadasz się. Rozsiadasz się wygodnie w fotelu, w życiu i oglądasz. Oglądasz film. Oglądasz innych, siebie, życie. Taśma się kręci, prze-wija, życie przemija, film trwa. Jesteś filmem. Historią do nakręce-nia, fragmentem godnym utrwalenia, migawką wartą zapamiętania, wielokrotnego odtwarzania. Ujęciem. Jedynym, niepowtarzalnym, doskonałym.

On wiedział. Wiedział to wszystko – że życie to film, ludzie to film, świat to film, emocje to film. Film to narzędzie. Wiedział, że warto, że trzeba. Trzeba obserwować. Chwycić za kamerę, włą-czyć przycisk start i kręcić. Wyjść z kadru, zapisywać w obrazie. Włączyć, czerwone światelko, akcja!

Wiedział. Jego życie to film. Kolorowe, pełne detali, konflik-tów, punktów zwrotnych, pętli. Jego przodkowie i ich histo-rie to film. Miejsca, z których wyszedł to film. Jego patrzenie na świat to film. Jego ujrzenie po raz pierwszy świata. Jego wybory. Jego dramaty. Jego przyjaciele i rodzina to film. Jego działanie. Jego słowa. Myśli. Doznania. Wszystko to film. Wszystko to materiał na film. Wszystko, gdzie pojawia się człowiek.

– Idź za człowiekiem – powtarzał. – Człowiek zawsze się obroni. – I szukał człowieka, spotykał człowieka, a potem krę-cił o nim film.

Kolejny. I kolejny. I kolejny.

Może mógł być inny, a może nie mógł. Z takimi przodkami nie mógł. Raczej nie mógł, chociaż pewności nie ma. Może jednak mógł? Osta-tecznie uciekł, porzucił miasto, rodzinę, przodków. Oznajmił:

– Chcę być wolny! Żyć po swojemu!

Matka załamywała ręce, ojciec wyciągnął sto złotych i powie-dział:

– Jedź. – A pod nosem mruknął: – Jeszcze tu wrócisz.

A on ucałował matkę, na szyję założył zorękę, lewą ręką chwycił tobolek z pierzyną, prawą walizkę z resztą dobytku, obrócił się

na pięcie i wyszedł. Tak po prostu, jakby wybrał się na poranny spacer nad szemrzącą Brdę albo do pobliskiej piekarni po sznekę z glancem. Po prostu wyszedł.

Miał dwadzieścia lat, dwa swetry, trzy koszule, podkoszulek, spodnie na zmianę, pierzynę z gęsiego pierza, piżamę w granatowe pasy, metalowy kubek, komplet aluminiowych sztućców, tekturową walizkę, prześcieradło, szare mydło, szczoteczka do zębów, kieszonkowy grzebyk, termos z herbatą, sześć kanapek z salcesonem, głowę pełną marzeń i młodzieńczy zapach. Miał wszystko. Wszystko, czego potrzebował. Wszystko, czego potrzebował w podróży na południe, w podróży w nieznane. W drodze do nowego życia. Swojego życia. Samodzielnego. Na swoich warunkach. W drodze do przeznaczenia, które wybrał świadomie, chociaż nie miał pojęcia, jakie ono będzie.

Nic nie wiedział, nawet nie przypuszczał, tylko czuł. Czuł wewnętrzny przymus, nacisk, brak tlenu. Czuł, że musi. Musi bez względu na konsekwencje, bez względu na warunki, przewidywania. Czuł i tak zrobił. Wsiadł do pociągu na dworcu Bydgoszcz Główna i ruszył w stronę miejsca, w którym widział się w przyszłości, z którym wiązał swoją przyszłość. Pociąg szarpnął – koła żelaznego molocha zakręciły się, taśma kręci się – maszyna ruszyła, czas start, ujęcie pierwsze.

W wagonach pełno. Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. W wagonach tłok, ciasnota, harmider. Jurek próbował zasnąć, próbował myśleć, opanować emocje – radość, strach, tęsknotę. Radość, strach, tęsknota kotłowały się w nim, mocowały, szarpały na różne strony.

Mógł pojechać gdziekolwiek. Mógł zostać. Mógł wybrać inaczej. Mógł wszystko. Lecz dokonał wyboru. Czy dobrego? Tego jeszcze

nie wiedział. To znaczy w tamtym momencie, w tej podróży wiedział, że dobrego. Czuł spokój i zadowolenie. Czuł też niepewność, rozdrażnienie, jednak przede wszystkim zadowolenie. To był dobry wybór. Najlepszy z możliwych. Nawet jeśli tylko na chwilę, był to dobry wybór.

Nosiło go. Lewa noga mu podrygiwała. Jechał już czwartą godzinę. Kanapki nadal leżały w walizce. Nie chciało mu się jeść. Nie mógł. Nie dałby rady przełknąć choćby kęsa. Rozsadzało go od środka. Tysiące pomysłów i planów wypełniało umysł.

– Co teraz? Wybór był dobry. Najlepszy. Ale co teraz? Co powinien zrobić w pierwszej kolejności? Na czym się skupić? Gdzie się udać? Przecież nikogo tam nie zna, niczego tam nie zna, nikt na niego nie czeka, nie przywita go, nie oprowadzi, nie ugości.

Nikt, tylko miasto. Ulice, place, kamienice. Niby zwykłe miasto. Takie jak inne. Jakich wiele. Jak to, z którego wyjechał, które go dusiło. Też miało ulice, place, kamienice, a jednak te i tamte to zupełnie inne ulice, place, kamienice.

Cegły, bruk, stal. I tu, i tu. To samo, a inne. To samo, a bez porównania. Dlaczego? Od czego to zależy? Co sprawia, że to samo staje się innym? Bardziej przemawiającym, ponętnym? Co?

Nieważne. Ważne, że wybór dobry. To pewne. Tylko co dalej? Na początek dobry choćby i dobry wybór. Teraz podróż. Potem pojawi się reszta, to, co musi. To, co właściwe, dalsza część drogi, dalsza część wyboru, dalsza część zagadki do rozwikłania, przeszłość. Teraz podróż. Rytmiczny stukot kół, ściszone rozmowy pasażerów, głośnie rozmowy pasażerów, płacz zaspanego dziecka, zapach spoconych ciał, swojskiego chleba, krajobraz za oknem, umykające równiny i lasy.

Lasy. Mógł wybrać lasy i pagórki Doliny Dolnej Wisły. Mógł wybrać Gruczno. Wrócić tam, skąd wyszedł, skąd pochodził, gdzie tkwiły jego korzenie. Jego przodkowie. Dziadek. Felicjan. Jego inspiracja. Jego siła. Jego charakter. Mógł. Wybrał inaczej. Wybrał miasto. Wołało go, przyciągało, kusiło. Nie mógł się od niego

uwolnić. Odkąd je ujrzał w czasie wycieczki szkolnej w siódmej klasie, opłotło go mackami i przywoływało. Urzekło. Zaczarowało. Skradło duszę. Próbował się wyrwać, ratować się, zapomnieć, opamiętać, nie podolał. Było silniejsze. Musiało wygrać. Wygrało.

Kraków. Ma dwadzieścia lat, ukończył liceum w Bydgoszczy, napisał kilkadziesiąt artykułów, swoją pierwszą powieść. Pisał pod pseudonimem, inaczej nikt by go nie drukował. Szesnastolatek poruszający trudne tematy młodzieżowe, myślący zupełnie inaczej niż jego rówieśnicy. Obserwował, wyszukiwał problemy, stawiał diagnozę i proponował alternatywy. Pisał, robił zdjęcia, prowadził spotkania, odczyty, wieczory poezji w kinie Banjo. Z tą myślą zresztą jechał: pójdzie studiować filologię polską na UJ i zostanie pisarzem.

Chciał stać się kreatorem słowa. Demiurgiem. Tworzyć nowe rzeczywistości. Dawać ludziom nadzieję i radość. Naiwne to. Naiwne chciał uratować świat. Wierzył, że to możliwe.

– Ludzie są dobrzy. Nawet ci źli są dobrzy. Po prostu pogubili się, zapomnieli, zboczyli z drogi dobra. Zawróci ich. Zbawi. Jako pisarz może wszystko. Słowa są ważne, zaklinają rzeczywistość, są początkiem lepszego, mają moc, są mocą. Ale najpierw studia.

Uniwersytet Jagielloński, wydział polonistyki, magister filologii polskiej, pisarz, Jerzy Kurz. Nie, to nazwisko nie pasuje. Musi je zmienić. Koniecznie. Pamiętał, ile sprawiło mu bólu, ile wstydu. Nie samo nazwisko, ale rówieśnicy wyśmiewający i szydzący: „Kurz, kurzy ci się z dupy! Kurz, zakurzysz? Kurz, kurzy pomiot”... Nazwisko musi zmienić, koniecznie. Na...? Teraz to nieistotne, ma czas, pomyśli. Teraz najważniejszy pierwszy krok.

Jeszcze trwa podróż, jeszcze kilka godzin bezczynności, wycieknięcia, wyglądania. Jeszcze droga. Potem pierwszy krok, pierwszy ruch, pierwsza decyzja. Na nowym miejscu, w nowym życiu, w nowym domu. Na początek dom, dach nad głową, spanie. Jeszcze

kilka godzin. Świat za szybko ciemnieje, powieki opadają coraz częściej, ciężiej, na dłużej. Koła turkoczą, kręci się taśma. Zaciemnienie, cięcie, kolejna scena.

Miasto. Ranek. Plener. Dworzec Kraków Główny. Ruszył przed siebie, w miasto, w przyszłość. Był młody, odważny, niepokorny. Pewny siebie.

– Uda mi się. Niech ojciec gada, co chce, niech psioczy, niech matka roni łzy, ręce załamuje, bierze na litość. Nic z tego, nie wrócę, powiedziałem, że nie, to nie. Moje miejsce jest tu, jestem tego pewien. – I wszedł w nieznaną, obcą, choć z każdym krokiem coraz mniej.

A wszystko wkoło takie inne, tajemnicze, zajmujące. Jakby każdy kamień, cegła, gołąb opowiadały historię. Jakby każda dorożka, brama, przechodzień byli historią. Wszystko takie zachwycające. Barbakan, Brama Floriańska, kościół Mariacki, Sukiennice, wieża Ratuszowa, Grodzka wiodąca pod zamkowe wzgórze. Podobnie było za pierwszym razem, dokładnie tak to zapamiętał. Mimo tego przyjemnego dreszczyku nie opuszczała go jednak świadomość, że tym razem nie przyjechał na wycieczkę szkolną i sam musi się o siebie zatroszczyć. Czas rozpocząć poszukiwania. Zrobić znaczący krok na nowej ziemi.

– W pierwszej kolejności nocleg, potem zachwywanie się zabytkami. Bilet, oranżada w budce na dworcu, precel, „Dziennik Polski”, po odliczeniu zostało jeszcze... dziesięć, trzydzieści, trzydzieści pięć, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt siedem, osiemdziesiąt dwa złote trzydzieści cztery grosze.

Październik tonął w żółci i czerwieni, zapach jesiennych liści mieszał się z zapachem wilgoci i starych murów. Jurek przysiadł na Plantach, otworzył gazetę, w rubryce *Lokale. Wynajem* znalazł ogłoszenie: „Szukam lokatora do pokoju. Niepalący”.

– O, coś w sam raz dla mnie – skwitował z zadowoleniem i oznaczył je długopisem.

Słońce wyłoniło się zza chmur. Chłopak wystawił twarz na jego promienie. Zamknął powieki. Ciepło otuliło jego ciało. Radość i rozterki połączyły się w jedno. Tramwaje, studenci spieszący na uczelnię, urzędnicy zajęci pilnowaniem przestrzegania przepisów, aktorzy w pobliskim Teatrze Słowackiego, gawrony z zapalonym grzebiącym między opadłymi na trawnik liśćmi, dym wydobywający się z komina narożnej kamienicy przy Szpitalnej i Pijarskiej, cząsteczki powietrza – wszystko raptem zwolniło bieg.

Pewnie jeszcze długo siedziałby na tej ławce, gdyby nie grupa krzykliwych przedszkolaków, które akurat za jego plecami zbierały kasztany. Zerknął na zegarek.

– W sumie godzina jeszcze młoda, warto skorzystać z dnia.

A że dla przyjezdnych istnieje w Krakowie tylko jeden kierunek, udał się tam, gdzie w dali majaczyły dwie wieże.

Miasto nad miastem. Miasto na mieście. Chodnik, a pod nim drugi chodnik. Rozkopany rynek. Gruz, dziury w ziemi, hałas. Jedna wielka piaskownica. Robotnicy nadrabiali straty. Zima zatrzymała prace. Ciężka zima, potężny mróz. Zima stulecia. Najstarsi górale takiej nie pamiętali. Co prawda, zimy stulecia co jakiś czas się powtarzały, ale w prawdziwej Polsce takiej jeszcze nie było, więc górale nie mogli jej pamiętać, bo prawdziwa Polska to Polska socjalistyczna, Rzeczpospolita Ludowa, która istniała zaledwie od kilkunastu lat.

W lutym minus trzydzieści. Szkoły, zakłady, sklepy pozamykano. Zaspy do pasa, przerwy w dostawie ciepła i prądu, opał w ograniczonych ilościach. Przy minus trzydziestu robić się nie dało. Przez zimę stulecia plany wzięły w łeb. I weź tu bądź człowieku mądry, przekonaj naturę. Terminy leciały, a robota leżała.

Wiosna. Jak co roku, jak świat światem, sezon za pasem, władze naciskały, a roboty tyle, że trudno ogarnąć. Robotnicy troili się, uwijali jak mszyce, kostkę wymienić trzeba na płyty z piaskowca i granitu, a oni spokojnie dłubali. Jak gdyby nigdy nic dłubali.

Wszędzie naukowcy, archeolodzy, krety. Cegielki dmuchali, pędzelkowali, z każdej strony uważnie oglądali. I masz! Pech chciał, musieli coś odkryć. Cokolwiek, byle co, coś wyjątkowego. I odkryli. Miasto na mieście. Miasto pod miastem.

Przy Sukiennicach – fragmenty, fundamenty, ślady. Budynki, instalacje, trakt. Belki sosnowe, rury świerkowe, zabudowa miejska, a wszystko datowane na dziesiąty, może jedenasty wiek.

Najpierw zima, teraz oni. Nic ich nie obchodziły plany, terminy, dyrektywy władz. Ludzie zrządzili, po zrytym rynku chodzili, po mostkach drewnianych, bruku rozwalonym, wśród desek, kamieni i piachu. Chodzili i psioczyli, bo zryty, bo piach, kamienie wkoło, a do tego smród z kanalizacji nie do wytrzymania.

Rok. Plan przewidywał rok, władze zgodziły się na rok, ludzie liczyli na rok. A tu rok minął, a końca nie widać. Za to oni uradowani rękawy zakasywali, roboty ziemne wstrzymali, bo miasto pod miastem, bo stare groby. Naukowcy, archeolodzy, krety!

Rozkopane miasto niczym rozkopane życie. Plany jedno, życie drugie. Ze starego do nowego, a co pomiędzy, to już inna sprawa. Kto powiedział, że przeskok z jednego w drugie musi przebiegać gładko?

Jurek wpatrywał się w rozkopany rynek. Wokół przemykali ludzie, ktoś go potrącił, ktoś rzucił: „Weź, pan, nie stój w przejściu!”. A on stał, znieruchomiał i oniemiał. Czas się zatrzymał, podróż dobiegła końca. I co teraz?

Z wykopu wyskoczył szczur. Rozejrzał się, coś zwęszył. Poszedł za zapachem, za przecuciem. Za stosem kamieni leżały resztki czyjegós śniadania. W otłuszczonym papierze kawałek czerstwej skórki. Szczur zatrzymał się, poruszył energicznie nosem, wąsy mu zatańczyły i nagle zmienił się w posąg. Oddech wstrzymany, żadnego ruchu. Przy kawałku chleba wylądował młody gołąb. Łup ucieszył go tak bardzo, że już nic więcej go nie zajmowało. Pysnił się. Pierś nadęta, wole wypełnia się raz za razem. Uczta

Spis treści

Ruchome obrazy • 7

Biogram Jerzego Ridana • 207

Filmografia • 209

Nagrody filmowe • 211

Przypisy • 213



Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska i Jerzy Ridan

Poznali się w Studium Literacko-Artystycznym przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. On prowadził roczne warsztaty scenariuszowe, ona uczyła się wyrażać siebie za pomocą słowa. Przy pierwszym kontakcie usłyszała, że nie potrafi czytać swoich wierszy. Później było już znacznie lepiej – rozmowy, wsparcie, troska, konstruktywna krytyka. Kiedyś zwierzył się jej siostrze, że jest zdolna i pracowita, więc wiele osiągnie. I ona mocno tego się uchwyciła. Wlał w nią wiarę, dzięki której nie poddała się w dążeniach do przekraczania niemożliwego. Z czasem relacja uczeń–mistrz przerodziła się w serdeczną przyjaźń. W ich życiorysach odnaleźć można wiele wspólnych mianowników, jednak główną łączącą ich ideą okazało się przekonanie, że ludzie są dobrzy z natury.

W *Ruchomych obrazach* fikcja miesza się z rzeczywistością. Bez względu na proporcje między nimi, książka stanowi próbę upamiętnienia pięknego człowieka, którego autorka miała przyjemność spotkać na swojej drodze.



<https://akademicka.pl>

